



W SŁOŃCU



NR. 13.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA“.

WARSZAWA 28 MARCA 1914 R.

B. Hertz: Przygody Magdusi.

XI.

B A L.

Pogody wciąż były nieładne. Żeby więc Magdusi zrobić przyjemność, mama obiecała zaprosić na niedzielę kilkoro znajomych dzieci i urządzić bal.

Więc gdy nadeszła niedziela, Magdusia poprzebierała lalki w nowe sukienki, uporządkowała zabawki, a Pipie zawiązała na szyi czerwoną kokardę. Ale suczka nie poznała się na tej elegancji; zaczęła głową kręcić i łapaćmi wstążkę tarmosić.

— Przestań, bo powiem pannie Agacie!—zawołała dziewczynka.

Nic to jednak nie pomogło. Więc Magdusia rzeczywiście poszła na skargę. Gdy wróciła z panną Agatą, psina ledwo dyszała. Okazało się, że krawat za ciasno był zawiązany.

Magdusia włożyła Pipie pod pachę

ołówek, który służył lalkom za termometr, i przekonała się, że nieszczęśliwe zwierzę dostało strasznej gorączki. Trzeba było zaraz dać lekarstwo. Dziewczynka przyniosła z kuchni kubek letniej wody (z samowara); nasypała na łyżeczkę proszku — t. j. garsteczkę cukru, garsteczkę soli i garsteczkę pieprzu—a potem wszystko to wepchnęła Pipie w gardło. Ale suczka, zamiast grzecznie popić wodą lekarstwo, zerwała się raptownie i przewróciła szklankę.

W rezultacie (taka to teraz na świecie sprawiedliwość!) nie Pipa, ale Magdusia dostała burę od panny Agaty. Burę przed samym balem! Dziewczynka byłaby się chętnie obraziła, tylko nie wiedziała, czy to panny Agaty nie rozgniewa.

O godzinie czwartej zaczęli się schodzić goście. Wojtuś i Bogna zjawili się

pierwsi; potym przybyli Staś i Jania ze swoją Frajlajn, która zaraz sobie poszła. Wreszcie ostatnia zadzwoniła Dzidzia, którą przyprowadziła sama ciocia Dunda.

Gdy się już całe zebrało towarzystwo, Magdusia zaznajomiła je ze swymi córeczkami. Każdemu przytym powiedziała do ucha w tajemnicy, jakie jest właściwe pochodzenie Wiei. Pannienki bardzo się tym zainteresowały, ale chłopcy nie chcieli uwierzyć. Staś nawet powiedział, że taka królewna na patyku, to tylko na śmietnik dobra.

Była to z jego strony wielka niedelikatność. Magdusia o mało się nie rozplakała, co widząc Wojtuś, wyzwał Stasia na pojedynek.

— Oho!—odpowiedział Staś — myślisz, że ja się ciebie boję?

— A może ja ciebie? — odrzekł Wojtuś.

— Takich kozaków to ja jedną ręką.

— A takich, jak ty, to ja jednym palcem.

— Stawiasz się, stawiasz się?...

Chłopcy chwycili się w pół, chcąc jeden drugiego przewrócić na ziemię. Wojtuś był cienki i zręczny; Staś gruby i silny. Więc ani ten temu, ani ten temu nie mógł dać rady. I nie wiadomo, czymby to się skończyło, gdyby nie weszła panna Agata. Rozdzieliła walczących i powiedziała, że tak się bawić nie można.

— Czy nie lepiej — rzekła — w komórki do wynajęcia?

— E, taka dziewczyńska zabawa— odpowiedział, krzywiąc się, Staś.

— To w ślepą babkę.

Pociągnięto supelki i na Dzidzie wypadło być ślepą babką. Długo błąkała się po pokoju, ciągniona to w tę, to w inną stronę przez chłopców, aż wkońcu schwytała Bognę. Po Bognie ślepą babką została Magdusia. Potym bawiono się w pociąg i śpiewano razem:

„Jedzie pociąg z daleka,
Na nikogo nie czeka...”

Aż wreszcie zjawiała się Ksawera i zaprosiła wszystkich na podwieczorek.

Była doskonała czekolada z białym kremem na każdej filiżance i wybornymi ciastkami. Po czekoladzie dało jabłka i pomarańcze.

Dopiero w czasie tej uczytwarzystwo naprawdę się ożywiło. Ogromnie śmiano się szczególnie z pomysłów Stasia, który powiedział, że jest dentystą i ze skórek od pomarańczy robił zęby.

Po podwieczorku ciocia Dunda zagrała na pianinie, a dzieci tańczyły. Staś z Bogną, Wojtuś z Dzidzią, a Magdusia z Janią. Było bardzo wesoło. Ale że już zrobiło się późno, więc trzeba było tańców zaprzestać i ostygnąć przed wyjściem na ulicę. Więc panna Agata dała dzieciom ser, rodzynki, dwie pomarańcze, migdały, cukier i poradziła zabawić się w kuchnię. Dziewczynkom bardzo to się podobało. Wszystkie chętnie wzięły się do pracy. Staś puszczał przez ten czas mały blaszany automobil, co się nakręcał kluczykiem; a Wojtuś stawiał z klocków prześliczny pałac. Wreszcie Stasiowi znudziło

się i zapytał, kiedy panienki skończą to gotowanie. A gotowanie już było skończone, tylko kucharki nie miały się czym popisać, bo w trakcie roboty większość potraw zjadły. Podały zaledwie filiżaneczkę buljonu z soku pomarańczowego i lody z sera.

— Zgrabne gospodynie! — krzyknął niezadowolony Stasio — w życiu nie widziałem, żeby ktoś dawał na obiad tylko rosół i lody.

— A na balach właśnie tak się daje — odpowiedziała Jania, która była główną kucharką.

— Uch, ty także wiesz coś...

Wojtuś jednak potwierdził słowa Jani, tylko dodał, że to tak jest na dworskich balach, a na takich zwyczajnych to nie.

— No więc u nas jest dworski bal — odpowiedziała Magdusia.

Wtedy Staś wypił buljon, a lody zostawił Wojtusowi.

Przyszła Frajlajn, zabrała Stasia i Janię. Dopiero po ich wyjściu okazało się, że automobil zupełnie był zepsuty. Magdusia pobiegła z nim do panny Agaty, ale ta powiedziała, że to trudno: zawsze po balu musi być jakaś szkoda w domu.



D. Mamin:

Bajeczki Lenki.

II.

BAJECZKA O CHRZĄSZCZYKU.

1.

Pewnego prześlicznego wiosennego poranku, gdy dobre słoneczko przygrzewało rozkosznie, a nie paliło jeszcze swym żarem, gdy w jego jasnych promieniach wszystko cieszyło się życiem, a mnóstwo owadów latało i brzęczało w powietrzu, pojawił się też na świecie i jeszcze jeden owad—Chrząszczyk mały. Przedewszystkim potarł sobie Chrząszczyk cienkie nóżki jedną o drugą, następnie rozprostował wilgotne trochę skrzydełka — obejrzał się wokoło—i rzekł:

— Bardzo dobrze jest na świecie... Bardzo dobrze! I ładnie... Słonko tak jasne — niebo błękitne — trawka taka świeża i tak ślicznie zielona!... I wszystko to do mnie należy przecież... Wszystko to dla mnie... moje, moje!...

Jeszcze raz potarł sobie cieniutkie, jak nitki, nóżki jedna o drugą, jeszcze raz się rozejrzał wokoło i — pofrunął. Unosi się sobie na jasnych, wonnych falach powietrza ślicznego wiosennego poranka — i wszystko mu się na świecie podoba, wszystko go cieszy... Oto tam, daleko, w dole, zieleni się śliczna wiosenna murawa, wśród niej zaś chowa się niby skromny różowy kwiateczek. Ale Chrząszczyk wie, co

ma o tym myśleć!... Widzi go przecież doskonale i rozumiał odrazu, iż kwiatek życzy sobie zawiązać z nim stosunki. Opuścił się więc zaraz na ziemię, wszedł na łodygę kwiatka — i począł pić słodki sok z jego różowej czarutki.

— Jakiś ty dobry, mój kwiatku! — powiada mu Chrząszczyk, ocierając sobie pyszczek łapkami.—Bardzoś dobry.

— Tak—mówi kwiatek.—Ale ani fruć, ani nawet chodzić nie mogę...

— Ależ i tak jest dobrze! Bardzo jest wszystko dobrze... — pocieszał go Chrząszczyk.—I wszystko moje...

Lecz nie zdążył skończyć jeszcze, gdyż z groźnym, a gromkim brzęczeniem zjawił się w pobliżu i natychmiast siadł na tenże różowy kwiatek — straszny, włochaty Trzmieł.

— Żżż... — zabrzęczał groźnie. — A kłóż to tu śmie gospodarzyć w moim kwiatku?! Żżż... Kto się ośmiela spijać z niego mój słodki sok?... Żżż... żżż... A! to ty, żuczku marny! a nie pójdziesz mi stąd precz!...

— Ależ to wszystko moje... — pisała nieśmiało przestraszony Chrząszczyk.

— Co... o?!.. Żżż... Wynoś mi się, pókiś cały! Bo cię ukolę mym ostrym żądłem, rozumiesz?... Żżż... żżż...

Ba!... jakże tu nie rozumieć?... Chrząszczyk rozpostarł też co prędzej

swe skrzydełka i uciekł od tak niebezpiecznego sąsiada. Lecz nie odleciał daleko, tylko przysiadł na żdźble trawy opodal, oblizał sobie starannie nóżki, lepkie jeszcze od słodkiego soku — i dopiero wówczas rozgniewał się.

— Ale cóż to za gbur z tego Trzmieła! co za niegodziwiec! Przecie o mało mię nie zabił! I jeszcze twierdzi, iż kwiatek jego... A wszakże to wszystko moje... I słonko jasne, i kwiatki, i trawki — wszystko, wszystko moje!...

— Przepraszam bardzo, ale mylisz się, mój Chrząszczyku... — rzekła na to poważnie powolna, flegmatyczna liszka, która leniwym ruchem podniosła się właśnie na łodygę trawki. — Jesteś w błędzie... Właśnie, że to wszystko moje!...

Chrząszczyk przestraszył się znowu narazie i przeniósł się na inne żdźbło trawki, po chwili skombinował sobie jednak, iż Liszka niebezpieczną dlań nie jest, gdyż nie ma, jak on, skrzydełek i latać nie może — odrzekł więc śmiało:

— Wybacz, moja pani Liszko, ale to ty właśnie jesteś w błędzie! Ja ci w niczym nie przeszkadzam, owszem... pełzaj sobie dowolnie! Ale już się ty ze mną nie sprzecaj, proszę...

— Dobrze już, dobrze... tylko ty mi tej oto trawki nie ruszaj!... bo ja tego, wyznam szczerze, nie lubię... — rozsądnie mówiła Liszka, pełznąc sobie spokojnie dalej. — Niemało tu istot lekkomyślnych, podobnych tobie, kręci się i fruwa wokoło, lecz ja tylko jestem prawdziwą właścicielką tej trawki i tych kwiatków... Oł, zechcę, to wypełnę na tę trawkę i zjem ją — ze-

chcę, wejdę na pierwszy lepszy kwiatek — i także ogryzę jego listki... Bo to wszystko jest moje... Żegnaj!...

2.

Tak więc już w ciągu pierwszych paru godzin swego istnienia mały Chrząszczyk dowiedział się wielu nie nazbyt ciekawych rzeczy. Że na niektórych trawkach, ba! nawet kwiatkach są kolące, lub też parzące boleśnie włoski, że oprócz ciepłego słonka, jasnych niebios, wonnej trawki i słodziutkiego soku w kwiatkach są jeszcze na świecie różne złośliwe, lub też wstrętne stworzenia: liszki, trzmiele, osy, pszczoły i t. p. Tak, iż nasz młodziuchny Chrząszczyk nawet się obraził na świat trochę... No, bo i jakże! Pewnym jest przecież, iż cały świat istnieje dla niego — a tu i inni ośmielają się twierdzić, że samo... No, proszę!...

Przeleciał Chrząszczyk w dalsze nieco okolice, gdzie zrobił odkrycie — znalazł tam wodę, małe jeziorko błotne.

— Moja woda! moja! — z daleka już począł brzęczeć wesoło Chrząszczyk na widok jeziorka. — I jakże tu dobrze! jak miło! tyle tu trawki, tyle kwiatków...

A tu na spotkanie jego leci już cały rój różnych drobnych owadów: małych chrząszczyków, komarów, muszek rozmaitych...

— Witaj, braciszku! Witaj, witaj! — wołają.

— Witajcie, witajcie, moi drodzy!... Już mi się też i sprzykrzyło samemu. A cóż wy tu porabiacie?...

— Bawimy się tu sobie nad wodą. U nas wesoło! Chodź do naszego towarzystwa... Tyś pewno niedawno jeszcze na świat przyszedł?...

— Dopiero dziś.

I tu począł zaraz Chrząszczyk opowiadać towarzyszom swoje różne przygody i zmarwienia. Wesołe owady postarały się uspokoić i pocieszyć nowego gościa, który niedługo też przyjął udział w ogólnej zabawie. Chrząszczyki, muszki i komary utworzyły ogromny ruchomy słup w powietrzu nad wodą, w którym igrały sobie. kręciły się, wirowały, latały, brzęczały, piszczały, tańczyły — jak kto chciał i umiał. Bardzo, bardzo tam było wesoło. Nasz młody Chrząszczyk nie posiadał się z radości i swawolił, a dokazywał jeszcze więcej, niż inne owady.

— Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego inni się dają?... — myślał sobie, tańcząc w powietrzu. — Co prawda, to wszystko jest moje: i słońko, i trawka, i kwiatki, i ta woda... Lecz ja jeszcze nikomu nie myślę stawać na drodze. Owszem — latajcie sobie, brzęczcie, bawcie się. Pozwalam!...

Wreszcie zmęczył się nieco i usiadł sobie na łodydze wysokiej trawy błotnej, którą porosłe były brzegi jeziora. Trzeba przecie i odpocząć trochę... Siedzi więc sobie, patrzy, jak się bawią inne chrząszczyki, jak tańczą i swawolą — aż tu nagle śmignęło coś raptem około niego — jak gdyby kto kamieniem cisnął znienacka...

— Oj, oj! oj, oj, oj! strzyżyk! strzyżyk!... — zapiszczały przerażone chrząszczyki i muszki i w jednej chwili roz-

pierzeły się w popłochu na wszystkie strony. Gdy zaś strzyżyk odleciał i owady zebrały się znowu nad wodą — okazało się, iż brakuje całego dziesiątka chrząszczyków... To było gorzej jeszcze, niż z Trzmielem!... Nasz młody Chrząszczyk przestraszył się, naturalnie, okropnie i schował się wraz z innymi kilkunastoma owadami głęboko w trawę nadbrzeżną. Lecz czy uwierzycie, co się tam stało?... Paru chrząszczyków pochwyciła tam natychmiast wstrętna żaba, siedząca w błocie nad brzegiem, kilka zaś innych owadów mimochodem połknęła — rybka jakaś.

— Co to jest?! — oburzył się już nasz Chrząszczyk. — Przecież tak poprostu żyć nie można!... Do czegoż to podobne?!...

Lecz owadów, na szczęście, były takie roje, że nawet stratę trudno było zauważyć. Gdy zaś słońko poczęło się już pochylać ku zachodowi, nadleciał cały rój nowych, młodzietek chrząszczyków i muszek, które były jeszcze bardzo lekkomyślne i wesołe i, lecąc, brzęczały:

— Ach, jak dobrze na świecie! jak ślicznie! i nasze wszystko, nasz...sz...sze!...

— Nie! nie wszystko nasze! — zabrzęczał im nasz Chrząszczyk w odpowiedzi. — I nie wszystko jest dobre na świecie! Są jeszcze chytre płaszki, które na nas czyhają, chciwe żabki, łakome, a złośliwe trzmiele, i gderliwe liszki, i parzące włoski na ślicznych, słodkich kwiatkach. Bądźcie ostroż...żż...żni! bądźcie ostroż...żż...żni! ostroż...żż...żni!...

Tymczasem zaś nadeszła krótka,

a cudowna noc wiosenna, która swym wspaniałym płaszczem, nabijanym złotem, świecącymi się gwiazdami, otuliła i małe jeziorko błotne, i trawę nadbrzeżną i wszystko, wszystko dookoła. Chrzaszczyki pochowały się głęboko w trawę, gdzie było im ciepło i zacisznie. Niedługo też wszedł jasny księżyc na niebo i wraz z kilkoma towarzyszkami swymi, gwiazdami, odbił się ślicznie w jeziorku, tworząc jak gdyby drugie niebo z tej małej powierzchni wody.

— Mój, mój księżyc... Moje gwiazdy... — szeptał sobie cichutko, cichutko nasz Chrzaszczyk w swym ukryciu. Ale już nie śmiał wypowiedzieć tego głośno: jeszcze i o to się ktoś rozgniewać gotów... jeszcze i to odbiorą...

3.

Tak przeżył nasz Chrzaszczyk całe lato. Miał w przeciągu tego czasu niemało chwil przyjemnych, niemało zabaw i uciech różnych, ale też przeżył i wiele niebezpieczeństw. Bo i małoż to wrogów czyha na każdym kroku na takie biedne, bezbronne stworzonko? Kilkakrotnie też niemal, że się nie stał pastwą żabek, więcej zaś jeszcze razy przypadek go tylko ocalił od łakomego dzioba tych żwawych, a przebiegłych filutów, płaszków rozmaitych.

Dobrze tylko, że Chrzaszczyk łatwo zapominał o przeżytym niebezpieczeństwie i nie martwił się już nim więcej. Poznał przytym tego lata jeszcze szczęście podzielonej przyjaźni. Pewnego razu spotkał drugiego takiego, jak on sam, chrzaszczyka, który spojrzał nań jakoś szczególnie życzliwie i przemówił:

— Jakiś ty miły, mój Chrzaszczyku. Bardzo mi się podobasz. Chcesz—będziemy zawsze razem latali, dobrze?

Chrzaszczykowi także nowy znajomy podobał się bardzo, z radością zgodził się więc na propozycję i poczęli odłąd żyć razem, a w wielkiej zgodzie i przyjaźni. Wszędzie razem: jeśli jeden usiadł na kwiatku, to i drugi za nim na tym samym kwiatku, gdzie jeden poleciał, tam zaraz za nim i drugi.

Nie obejrzały się Chrzaszczyki, jak lato minęło. Noce poczęły być teraz długie i coraz dłuższe, dnie często dżdżyście, a pochmurne. Nasz Chrzaszczyk poczuł się jakiś zmęczony, — naniósł jeszcze tylko dużo jajeczek, schował je starannie, głęboko w gęstej trawie—i ułożył się spokojnie do snu. Leżał tak cicho i nieruchomo, że możnaby pomyśleć nawet, iż umarł. Lecz nie była to śmierć. Chrzaszczyk zasnął tylko bardzo mocno, na całą zimę — aby się na wiosnę obudzić do nowego życia.

tlum. S. Honesti.



Janusz Korczak:

Z Tygodnika Domu Sierot.

MIMELE SZUKAŁA NAUCZYCIELKI.

Mimele dostała pióro i kajet — kajet tylko do połowy zapisany — w takim do połowy zapisanym kajecie można jeszcze bardzo dużo napisać. Więc Mimele zaczęła szukać nauczycielki.

Najpierw poszła do Różki. Różka zaczęła uczyć Mimele, bo sama umie już czytać: „tato, tam sto os“. Ale Różka niedługo uczyła Mimele, wołała skakać przez sznur.

Więc poszła Mimele do Chasi. Chasia już czyta: „Co to jest czarne?“ Ale Chasia zbiła Mimele przy lekcji.

Poszła Mimele do Estki i Estka uczy teraz Mimele, która umie już pisać: a i o, ale jeszcze nie umie przeczytać tego, co napisała.

TABLICA OSZCZĘDNOŚCI.

Kiedy Goldstein był jeszcze u nas i pracował u krawca — miał duże dochody. I cóż robił z niemi? Chodził do iluzjonu, kupował czekoladę, — bo pieniądze mu były niepotrzebne. A kiedy poszedł do majstra na stałe — chodził pięć tygodni w jednej koszuli, bo nie wymówiono u majstra, że będzie z pra-

niem, a do pralni Goldstein nie umiał oddać bielizny i zapłacić czterdziestu groszy. Nie przyszło mu to do głowy. Wiedział, że w sobotę oddaje się brudną bieliznę i dostaje czystą — nie znał innego sposobu.

Dzieci powinny mieć pieniądze, — dlatego dajemy im pensję: ale powinny umieć rozsądnie wydawać pieniądze i oszczędzać...

Dora oddała pieniądze ojcu na bućki dla małej siostry. Dora postąpiła słusznie: po co ma chować pieniądze, które jej będą potrzebne za trzy albo za pięć lat, jeżeli małej siostrze już teraz są potrzebne.

Może nie tak mądrze robi Sejwacz, jeżeli wydaje wszystkie pieniądze na cukierki dla małego brata i siostry, którzy są w przytułku na Pokornej. Bo trochę pieniędzy warto zostawić na książki dla nich i na kajety. Wystarczą malcom łakocie za kilka groszy, tym bardziej, że jeśli zjedzą za dużo, to sobie popsują żołądki.

Tablica oszczędności wisi tam, gdzie na kartce napisana jest waga. Bo jak waga pokazuje, ile funtów ciała przybyło, tak tablica oszczędności pokazuje, ile rozumu i powagi przybyło dzieciom.